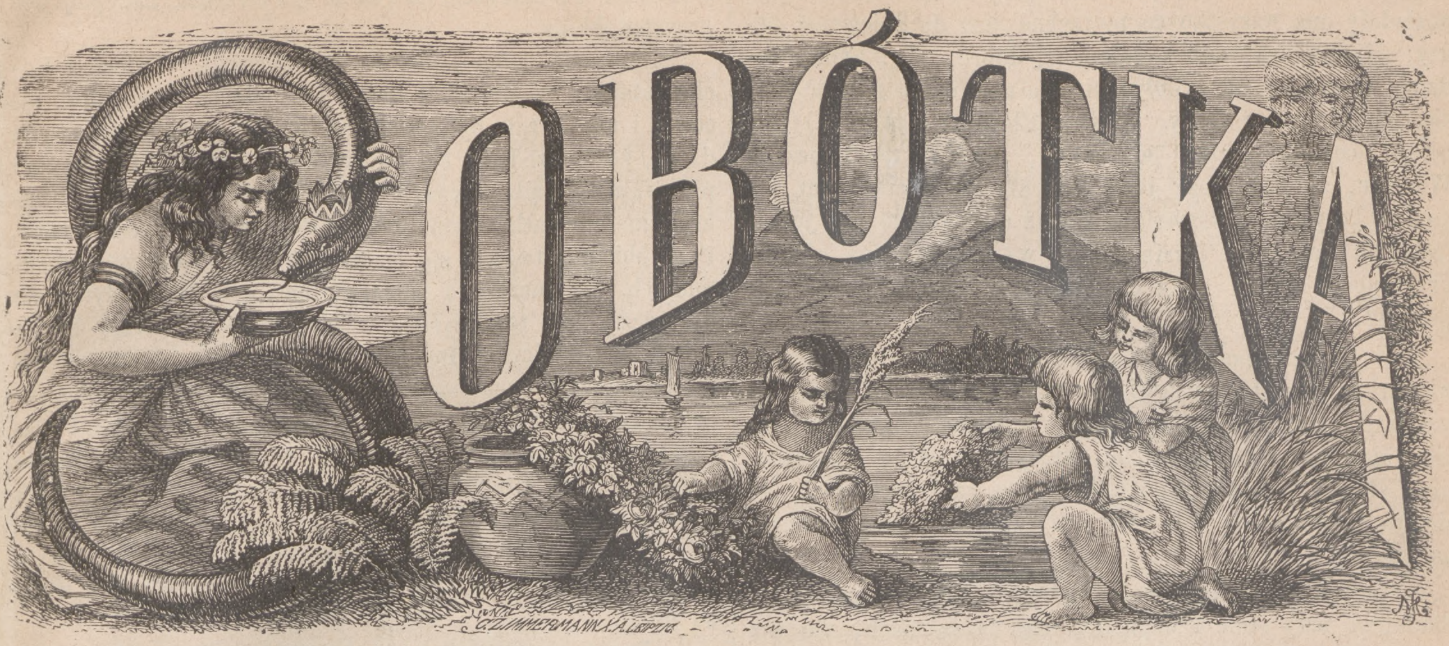
Nr. 47. Poznań, dnia 18. Listopada 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

Piękne słowa siostry miłosierdzia niezdołały mnie oczarować; radość jéj okazywana przy odjeździe, wzbudziła podejrzenia; ale postanowiwszy pozostać czas jakiś, zabrałem się zaraz do urządzenia mego pomieszkania. Około południa wyszedłem na ulicę i spostrzegłem jadącą saniami siostrę Eleonorę; gromadki dzieci biegły za nią wołając: Do widzenia siostro Eleonoro, do widzenia!

Siostra Eleonora z zadowolnienia że wieś opuszcza ani razu głowy nie obróciła. Widząc to, przestraszyłem się przyszłości. Teraz będę musiał od drzwi do drzwi żebrać chleba, pomyślałem sobie. Gdzie mieszka Jakób Laroche? spytałem pani Hulot.

Staruszka milcząc, wyciągnęła rękę i wskazała na piątą chatę z kolei. Zegar wskazywał dwunastą, poszedłem więc na obiad. Zbliżając się do chaty wskazanéj, spostrzegłem panią Laroche prowadzącą pijanego męża pod rękę. Idąc kłócili się z sobą; kobieta nazywała męża pijakiem; a on z fajką w ustach, przymrużając oczy wykrzykiwał: Milcz! Katarzyno, milcz!

Stanąłem u drzwi. Pomimo, że gospodarze wiedzieli kto jestem i po co przychodzę, nie zwracając na mnie uwagi kłócili się daléj. Dzieci ich wyglądały z kuchni, a p. Laroche wchodząc do drzwi, dwa razy uderzył żonę w twarz. Po téj scenie chciałem uciec, kiedy gospodarz uśmiechając się rzekł: „Proszę wejść, panie nauczycielu, nie zwracaj na nas uwagi.

Dwoje dzieci siedziało już przy stole; gospodarz wziąwszy starsze za ucho, zrobił dla mnie miejsce. Żona nie zwracając uwagi na ciekawych, którzy się z sąsiednich chat pozbiegali, krzyczała przeraźliwie. Jakób Laroche położył fajkę i rzekł do mnie: „Jedz pan!... Nie rób ceremonii... Bądź jak w domu..."

Tak to żyją ludzie w Roches; do nich to miałem się przyzwyczaić. Przez sześć tygodni, w których zwiedziłem wszystkie chaty, wszędzie widziałem tož samo: kłócono się, łajano i odgrażano! dzieci z bosemi nogami przypatrywały się temu uśmiechając. Co niedzielę, cała wieś upijała się białem winem lub wódką; żony szły za mężami do karczmy, a kiedy grano w karty podpatrywały karty sąsiadów i dawały znaki mężom; wywoływało to prawie zawsze bijatyki, uderzenia krzesłami, butelkami i nożami. Pomimo tego ludzie ci byli bardzo nabożni.

Co do dzieci, nie były one ani gorsze ani lepsze od dzieci w Chêne Fendu; jedynie nieco upartsze i dziksze. Była ich w Roches ilość bardzo wielka, chociaż zwykle na

troje, umierało dwoje, pozostałe przy życiu zdrowe były; posiadały one wszystko co potrzebne jest do zniesienia nędzy: silne płuca, dobry żołądek i dobre zęby. Zimą rodzice wysyłali je do szkoły; nie dla nauki, ale jedynie żeby się ich pozbyć z chaty. Siostra Eleonora, prócz Ojcze nasz, co jak papugi powtarzały, nic ich nie nauczyła. Wiedząc, że najstarsze będą musiały po Wielkiejnocy, do komuni przystąpić, wszystkich starań dokładałem żeby je katechizmu nauczyć. Trzcinka była w ciągłym ruchu. Biłem krzycząc do ucha: „Kto cię stworzył, nicponiu? Czy odpowiesz?"

Nic to nie pomogło. Tylko pamięć na to co byłem winien księdzu Bernardowi, przytrzymywała mię na miejscu i zdwajała gorliwość. Nieraz w rozpaczy pytałem siebie: Mój Boże! co to będzie, kiedy tych osłów egzaminować władza zechce? Chociażbym sto razy powtarzał, że siostra Eleonora nic ich nie nauczyła, wina zawsze spadnie na mnie!

Co wieczór w pokoiku marzyłem o mojem nieszczęściu. Siadałem przy stole i wsparłszy się na łokciach, nie raz przedumałem tak do północy. Wszystkie dnie w tygodniu prócz niedzieli były do siebie podobne. W niedzielę, czy deszcz, śnieg lub pogoda, cała wieś szła na mszą do Chêne Fendu; naturalnie że i ja na czele szkoły iść musiałem. W drodze dzieci nieraz śpiewały i wtenczas to zauważałem, że niektóre miały głos bardzo ładny. Postanowiłem skorzystać i uczyć je śpiewu. Chwyciłem się pomysłu tego i w tém przekonaniu, iż się spodziewałem że to rodzicom podoba, a z drugiéj strony wywoła u uczni pewnego rodzaju emulacyę. Zaraz nazajutrz oświadczyłem w szkole, że ci uczniowie, którzy umieć będą lekcyę katechizmu, mają prawo do uczenia się śpiewu. Nigdy może dzieci te nie były tak szczęśliwe jak tego wieczora; ambicya nauczenia się śpiewać, w téj chwili się wykazała. Wszystkie chciały należeć do choru niedzielnego przy mszy. Z pomiędzy całéj szkoły wybrałem tylko trzech, którzy mniéj więcéj umieli katechizm: Hieronima i Filipa Hutin synów strzelca i Jana Ferré; reszcie kazałem pozostać w domu.

Wieść o tym wydarzeniu w jednéj chwili całą wieś obiegła. Trzech wybranych z dumą stawiło się wieczorem w szkole. Inni zmuszeni wyznać przed rodzicami powód pozostania w domu, odebrali bolesną przestrogę. Nazajutrz matki przychodziły z prośbą, żebym ich dzieci uczył także śpiewać. Odpowiadałem wszystkim krótko: „Dobrze, ale niech się wprzód katechizmu nauczą."

Od téj chwili bić już nie byłem zmuszony; wystarczyło powiedzieć: „Dziś wieczorem nie przychodź na śpiewy!"

Zostawało mi jeszcze do nauczenia katechizmu przystępujących do komunii św., sześć tygodni. Przy każdéj repetycyi, która się odbywała co czwartek w Chêne Fendu, ksiądz Bernard zachwycał się. Ostatniéj niedzieli przed Wielkąnocą, publicznie nawet oświadczył, że uczniowie z Roches, a mianowicie Hieronim syn strzelca, najlepiéj jest przysposobiony.

Nareszcie dzień komunii św. nadszedł. Dzieci z Roches stanęły w pierwszéj linii. Po odbyciu tego aktu, ojcowie i matki tak byli uszczęśliwieni z powodzenia swych dzieci, że rozszedłszy się po karczmach już dzień cały tam pozostali. Ksiądz Bernard zaprosił mnie na obiad i zebranym tam duchownym przedstawił jako wzór nauczyciela. Przy obiedzie toczyła się rozmowa o najrozmaitszych przedmiotach. Wtenczas to spostrzegłem, jak jest pożytecznie uczęszczać do towarzystw, w których się zbierają ludzie więcéj wykształceni. Rozmawiano głównie o nowem rozporządzeniu, tyczącem się wychowania publicznego. Ksiądz proboszcz z Voyer wychwalał rządy Ludwika XVIII i rozporządzenie jego z dnia 5 Grudnia, przyzwalające na stowarzyszenie t. z. „Braci zasad chrześciańskich", z którego mają wychodzić nauczyciele dla szkół wyższego i niższego Renu.

Zadowolnienie przy mowie o tych sprawach malowało się na wszystkich twarzach. Jeden z księży w końcu rzekł do mnie:

„Panie nauczycielu, czy słyszysz... Bierz się na pazury! Będziesz miał trudną konkurencyą; swoboda nauczania wchodzi w życie coraz więcéj; bądź na wysokości postępu!"

Wszyscy przy stole i ja z niemi śmieliśmy się serdecznie; byłem dumny z pochwał mi czynionych; a wyborne potrawy i gorąca mokka stojące przedemną, do reszty mi głowę zawracały. W końcu jednakże trzeba było opuścić towarzystwo i zebrać uczni na nieszpory. Podziękowawszy księdzy Bernardowi za przyjęcie, wyszedłem po kawie. „Bardzo dobrze, bardzo dobrze", żegnając się mówił do mnie ksiądz Bernard, „niech tylko tak daléj idzie, a wszystko będzie dobrze."

Oddawszy głęboki pokłon całemu towarzystwu, wyszedłem na wieś, gdzie z każdego okna karczmy dochodziły mię krzyki wesołe i zapraszania: He! panie Renaud!... panie Janie Baptyście!.... proszę wejść na szklaneczkę... na chwilkę!

Na nic to się jednak nie przydało, bo musiałem na godzinę wyznaczoną zebrać uczni przed kościołem i żadne zapraszania od obowiązku by mię nie odciągnęły. Około godziny drugiéj po obiedzie, księża odprawili nieszpory, a o czwartéj, po kilku jeszcze szklaneczkach wina wszyscy wracali do Roches podtrzymując jeden drugiego. Na całéj drodze spotykano znajomych, których trzeba było podnosić z ziemi, zachęcać i pomagać do dalszéj podróży, a którzy ze swéj strony ściskali wszystkich serdecznie, sami nie wiedząc dla czego. Inni gniewali się i łajali, w końcu pozostawali gdzieś na drodze lub w rowie. Co do nas: moi uczniowie, pani Hulot, stary strzelec Hieronim i ja wróciliśmy około godziny szóstéj do domu i zmęczeni całodziennym tryumfem, zaraz położyliśmy się do łóżka.

(C. d. n.)

Wspomnienie z salonów Warszawskich

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

Dworzaczek twierdził, że i w niedowiarku, zaprzeczającym wszystkiemu tli pewna wiara w rzeczy nadprzyrodzone, lubo że do takiéj niedorzeczności nie przyzna się nigdy.

„W towarzystwie jedném“ opowiadał, „było dwóch dawnych wojskowych, przyjaciół serdecznych, kapitan i major. Wszczęła się rozmowa o duchach, jak oto dziś u nas. Każdy coś opowiadał! Kapitan wierzył w duchy, a major wyśmiewał wszystko i wyrzekł: „Chciałbym kiedy zobaczyć ducha koniecznie, oj i dałżeżbym mu!“ — „Przeraziłbyś się na śmierć.“ — „Ja?“ stary wojak śmiechem wybuchnął. — „Będę sam ducha udawał i nastraszę cię, zobaczysz!“ — „Dobrze; a jeżeli tego dokażesz, dam ci konia z rzędem!“ — „Nie to, lecz dasz mi swoją strzelbę liońską.“ — „Zgoda!“ — „A ty, skoro wygrasz, wybierzesz sobie co chcesz.“ — „Dasz mi tabakierkę po królu Joachimie.“ — „I na to zgoda!“ — Zakład stanął. Czasu, oczywiście nie naznaczono.

Upłynęły tygodnie i wszyscy o tym zapomnieli żarcie. Raz w nocy szmer jakiś zbudził majora. Północna godzina wybiła... A gdy spojrzał, zobaczył wysoką, białą postać blisko łóżka. „Antosiu!“ zawołał, przypomniawszy sobie zakład, „zachciało ci się figielka; nie wierzę; idźże sobie spać!“ Biała postać stała. „Nie trudź się daremnie, idź że sobie!“ Postać pozostała. „Ej, bo mnie nudzisz; zrzuć prześcieradło! Widzisz przecie, że nie wierzę w ducha!“ Postać jak stała, tak stała. „Niecierpliwisz mnie, na honor! dość tego błazeństwa! zaprzestań komedyi!“ Postać ani się ruszyła. „Bo strzelę, ktokolwiek jesteś!“ Postać ani zadrgnęła. „Słowo honoru, że strzelę!“ I sięgnął po strzelbę nad łóżkiem. Postać stała. „Strzelę! Raz... dwa... trzy!... W imię Boga zaklinam!... Raz... dwa... trzy!... Strzał padł. Postać ani się zachwiała. „Ha!“ porwał się kapitan — potém umilkło wszystko. Cisza potrwała przez chwilę. Potém rozległ się śmiech głośny i major z przyległego ze świecą wybiegł pokoju. „Karolu!“ zawołał, „przyznaj, żeś się nastraszył. Prześcieradło wisi przed tobą, a kulę ze strzelby wykręciłem. Nie gniewaj się, kochany!“ Kapitan nic nie odpowiadał. „Gniewasz się? Chciałem cię przekonać tylko. Wybacz Karolu!“ Major pochwycił rękę przyjaciela... Kapitan już nie żył.*)

„I cóż go zabiło?“ zapytałam. Dworzaczek ramionami ruszył.

Mieszkając w Paryżu, przyjaźnił się i przestawał wiele z Szopenem. Opowiadał nam:

„Dnia jednego Szopen fantazyował. Ja leżałem na kanapie, słuchałem go z roskoszą i dumałem. Nagle... muzyka jego zadźwięknęła piosnką, wdzierającą się aż w głąb duszy... znaną... swojską... ukochaną... z domu rodzinnego... z lat dzieciństwa... serce uderzyło tęskno, oczy łzą nabiegły. Porwałem się. „Fryderyczku!“ zawołałem, „tę piosnkę śpiewali mi przy kołysce, śpiewała ją matka. Mam ją w duszy mojéj, a ty ją wygrałeś!“ Obejrzał się z dziwnym wyrazem. Oczy jego jaśniały, palce przebiegały z lekka. „Ty nigdy nie słyszałeś téj nuty!“ wymówił. „Mam ją przecie tutaj! tu w duszy!“ zawołałem, przyciskając pierś dłonią. „Och!“ powstał i objął mnie za szyję — „sprawiłeś mi roskosz nieokreśloną, słowem niewypowiedzianą! Ty nie znałeś nigdy téj piosnki... tylko jéj ducha, ducha polskiéj nuty! A jam szczęśliwy, żem go ujął i wyśpiewać potrafił...“

Gdy męża mojego uwięziono w cytadeli — znalazłam w domu Dra Dworzaczka prawdziwie przyjacielską pociechę, radę zdrową i pożyteczną.

„Gdy pani będzie ciężko na sercu, przybądź do nas!“ powtarzał zacny, poczciwy doktor, „wypowiesz wszystko, pożałujemy, to i lżéj potém będzie.“

I téż tak było zawsze.

Dworzaczek już całkiem wtedy zawiesił praktykę lekarską, ale jako uproszony brał często udział w naradach. I nieraz doktora Malcza u niego spotkałam. W różnych także rodzinnych sprawach i sporach, wiele osób jego zasięgało rady — któréj z serca, sumiennie udzielał — nie oglądając się na nic.

Bywał u niego radzca stanu Badeni Ignacy; czytywał mu prace swoje i tłomaczenie dzieł ascetyczno-filozoficznych z francuskiego. Był to nader przyjemny człowiek. Opowiadał ciekawe rzeczy z przeszłości — i opowiadać umiał. Lubił poezyą, sam niekiedy poprobował wzlotu i w jednéj z chwil takich napisał mi do Album'u:

Częstokroć, tam gdzie wzrasta oświata i sztuka —
Zwykły słabnąć serca czucia — ich święte natchnienia.
Jest jednak w świecie światła oddzielna nauka:
Przy rozmowie zachować wszystkie serc odcienia.
O téj nauce dzisiaj wspomnieć mogę śmiało,
Bo mi się z Tobą, Pani! zapoznać udało.

Jako wcale oryginalną przytoczyłam tu tę miłą dla mnie pamiątkę.

„Och! och!“ zawołał szanowny doktor, gdy mu pan radzca stanu wiersz swój przeczytał — toćże i ja pani coś na pamiątkę zapiszę.

Podjął kartę i nakreślił — niestety, pismem mało czytelném, ale tém droższém dla mnie:

„Gdybym był poetą, napisałbym Pani wierszy kilka własnych. Gdybym był malarzem, namalowałbym Pani obrazek. Gdybym był filozofem, zadałbym pani nadchmurną, przyjemną, niezrozumiałą zagadkę, abyś przez całe życie ją rozwiązując, zawsze o mnie myślała. Cóż więc dam Pani? Oto receptę — i szczere, przyjacielskie życzenie,

*) Zdarzenie to opowiedziałam w Czytelni dla młodzieży, Nr. 28, rok 1860, Lwów.

abyś pierwszéj części mojego podarku, choćby była najskuteczniejszą, nigdy nie potrzebowała.“

W r. 1855, gdym go odwiedziła, ucieszył mi się bardzo. „Gdyby mnie rodzona odwiedziła siostra, nie mógłbym jéj ucieszyć się więcéj jak pani!“ powtarzał, a wyrazów tych nie zapomnę nigdy.

Wrażliwy jego umysł i pragnącą duszę zajmowały szczególniéj wirujące stoliki i ekierki. Mówił ze mną wiele, bardzo wiele o tém — a z jakiem wyrozumowaniem — z jaką badawczą nauką — i prawdziwie religijném uczuciem. Napisał także głęboką pod tym względem rozprawę, zajmującą niezmiernie, analizując wyrocznie Sybill greckich, i tejemnice eleuzyjskie. Czytałam rzecz tę w rękopisie, a nie wiem czyli gdzie jest drukowaną.

Spotkałam w domu jego mniej więcéj te same osoby. Paulina była zamężną. A małżonek jéj, doktor Dybek, godnym był takiego szwagra. Brat Jan z miłą i dobrą ożenił się osobą. Szczęście i harmonia w téj zacnéj trwała rodzinie.

Ale niestety! — w r. 1868 Dr. Dybek wywiezionym został do Ufy i towarzyszyła mu żona — zkąd dopiero przed dwoma wrócili laty. A młodszy wielce ukochany brat August umarł.

Dr. Ferdynad Dworzaczek, ma z twarzy nadzwyczaj wiele podobieństwa do Tadeusza Kościuszki. I popiersie jednego, możnaby wziąść za popiersie drugiego.

* * *

Po napisaniu już tych Wspomnień, odebrałam wiadomość, że dwaj bracia Dra Dworzaczka, Karól i Józef, zostawali przez lat kilka na Syberyi za rok 1863. Karól w Nowohopiorsku gub. Woroneżskiéj. Józef nie wiem gdzie. — Dzierżawiona przez Dra Ferdynanda Dworzaczka wieś Topola, jest dzisiaj donacyą generał-majora Tuchołko, za gorliwe odznaczanie się w służbie.

NAJWAŻNIEJSZE MOMENTA Z DZIEJÓW ARCHITEKTURY.

Architektura klasyczna (etruska i rzymska).

Architektura, służąc przedewszystkiém ogólnym celom i ideom, odzwierciedla przeto dość wiernie ducha i istotę pewnego czasu; przedstawia jasny obraz religijnych i państwowych urządzeń, społecznego, prywatnego i publicznego życia, stopnia kultury i smaku narodowego. Podawszy w dwóch już artykułach pogląd na architekturę wschodnich ludów starożytnych i Greków, przechodzimy obecnie do etruskiéj i rzymskiéj, które razem z grecką tworzą tak zwaną klasyczną architekturę.

B. Architektura etruska.

Gdy Grecy po wcieleniu do rzymskiego państwa zeszli z widowni dziejowego życia, ostała się jednakże ich kultura, i udzieliła się następnie Rzymianom, którzy ogromną liczbę architektonicznych dzieł sztuki zabrali jako łupy wojenne, by niemi ozdobić swe świątynie i pałace. Przed innemi owczesnemi ludami włoskiemi, Etruskowie mianowicie przyjęli architekturę grecką, tworząc tém samém przejście do rzymskiéj. Pod względem estetycznym ustępuje jednak etruska greckiéj, gdyż pierwsza nie ma idealnego ostatniéj polotu, pod względem zaś praktycznym stała się bardzo użyteczną przez zaprowadzenie budowy łuków, budowy, polegającéj na dowcipnéj kombinacyi, którą dopiero chrześciańskie wieki do świetnego doprowadziły rozwoju.

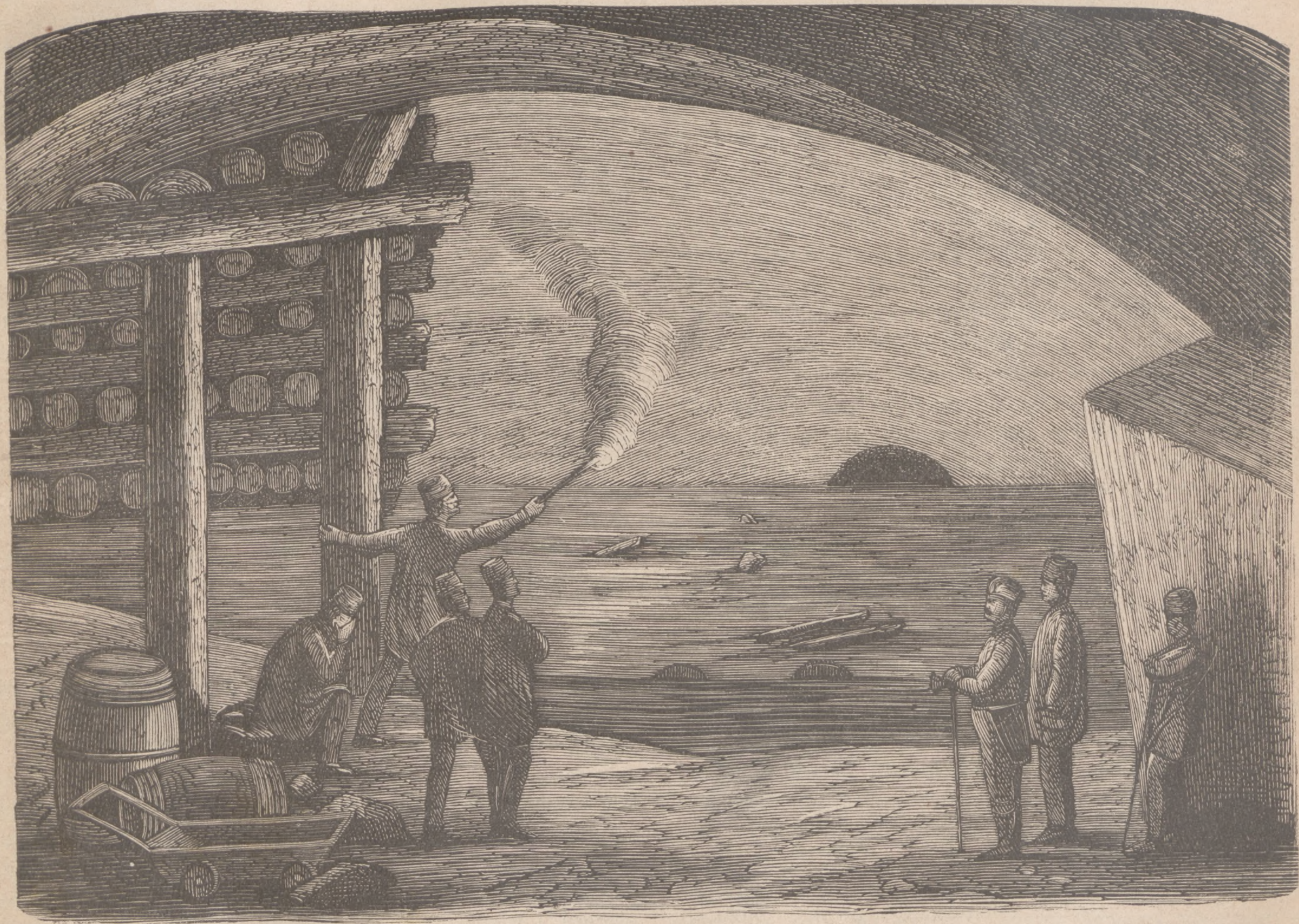
Pod względem charakteru ludu etruskiego, odbijającego się w jego architekturze, zauważyć należy, że brakło mu wprawdzie owego idealnego polotu, jakim się grecki odznaczał; lecz natomiast okazywał ducha trzeźwego, rozumnego, którego życiem kierowały jasne przepisy i prawa niedwuznaczne. Władza i rządy były w rękach kilku znakomitszych rodzin, które zarazem piastowały godność kapłańską. Religia Etrusków, która zresztą pierwsza nadała kobiecie i familii pewną godność, była przeważnie moralną, praktyczną i wręcz przeciwna poetyczno mitologicznej Greków. Przypisując pierwiastek dobry i zły, czyniła tém samém lud bojaźliwym, zależnym i zabobonnym. Na etruskich grobowcach widać zawsze biały i czarny geniusz, zdające się walczyć z sobą o osobę zmarłego. Jak Estrukowie daléj przyswoili sobie niektóre mitologicznie bajki greckie, choć wedle własnych przeistoczyli je zapatrywań, tak manifestują się i w ich architekturze żywioły greckie, choć także w równy przekształcone sposób.

Do najstarożytniejszych dzieł architektury etruskiéj należy kilka murów miast, które były w dawniejszych czasach — pod miastem Cossa — składają się one z nieregularnych wielobocznych brył kamiennych bez połączenia za pomocą wapna, poźniéj zaś — w Volterra, Cortona i Papulonia — z poziomo leżących kamieni, lecz bez regularnie powracających fug. Najważniejszemi jednak dziełami architektonicznemi Etrusków są budowle sklepione i z powodu tych należy ich uważać za wynalazców właściwych łukowych czyli sklepionych budowli, czyli łuku, utworzonego za pomocą klinowatych kamieni. Kilka sklepionych budowli etruskich przetrwało aż do naszych czasów jak n. p. stare bramy miejskie (w Volterra, Verugia) i ogromne podziemne kanały kloakowe w Rzymie (wzniesione za panowania Tarkwiniuszów na początku VI. wieku przed nar. Chr.) zbiegające się w kanał główny Cloaca maxima, który przy szerokości 20 stóp uchodzi do Tybru. Zastanowienia godném jest, że Etruskowie przy budowie świątyń nie uwzględniali jeszcze sklepieni. Świątynie ich bowiem podobne są do greckich, gdyż składały

się z przedsionka na filarach spoczywającego, z celli dla obrazu bóstwa i z dachu ze szczytem. Od greckich różnią się jednak tém, że tworzyły raczéj kwadrat, że z przedniéj tylko ich strony znajdował się jeden, lecz bardzo głęboki przedsionek filarowy. Cała zresztą świątynia robiła wrażenie trzeźwéj budowy bez życia, które powiększał jeszcze wysoki, daleko wystający dach. Stojące daleko od siebie filary, przypominające nieco doryckie, miały podstawę kształtu niezgrabnego, któréj część główna składała się z ociążałéj wypukłości, na któtéj spoczywała wązka płyta. Na kapitelu znajdują się wszystkie pierwiastki doryckiego,

C. Architektura rzymska.

Rzymianie, naród przeważnie praktycznego, rozumnego i panowania chciwego usposobienia, zamanifestowali i w architekturze o właściwości Etrusków w konsekwentnym, wyższym rozwoju. Tu jak tam jedna i taż sama objawia się myśl oddająca się przedewszystkiém zewnętrznym celom życia, panowaniu i posiadaniu, która jednak w architekturze Rzymian mniéj jeszcze okazuje ducha samodzielnego, oryginalnego, artystycznego, i dla tego byli oni najpierw uczniami Etrusków a następnie naśladowcami Greków.



Napływ wody w kopalniach w Wieliczce.

lecz płyta była wysoką, słaby echinus wystawał, pierścień otaczający nadto wysmukłego filaru tępo profilowany. — Z pomiędzy pomników etruskich, jakie do naszych przetrwały czasów, zajmują grobowce znakomite miajsca, które składały się albo z podziemnych, w skałach wykutych komor grobowych, albo też wychodząc po nad ziemią przyozdobione są w fasadę jak świątynia, wykuta w wznoszącéj się ukośnie skale, lub nareszcie bez podziemnych zakładów były budowlami do wieży podobnemi, jak grobowce Cucumella pod Volci i tak zwany grób Horacyuszów i Kurcyuszów pod Albano.

Podczas kiedy architektura grecka wzniosła się do idealnéj wysokości, uprowadzając nas z pomiędzy potrzeb i trosk powszedniego życia do swobodnych, jasnych przestrzeni, gdzie odwieczni przebywali bogowie, opuściła architektura rzymska stanowisko owo idealne, by zejść do warunków i potrzeb praktycznego życia. Czyniąc to jednak, nadawała wszystkim dziełom swoim odblask piękności greckiéj, która uszlachetniając wyroby powszedniéj użyteczności, wynosiła je do sfery artystycznéj. Bez owéj genialnéj siły twórczéj, która jedna zdoła rozwiązywać najwyższe zadania sztuki, nie umieli wprawdzie Rzymianie przy usposobieniu swém przeważnie rozumném, stworzyć nowych form, lecz łącząc

stare formy na sposób nowy, stworzyli nowy system architektury, wznoszący się do wysokości nauki, potrafili zastósować do wszystkich gatunków budownictwa; a w tém zastósowaniu są Rzymianie rzeczywiście wielkiemi. Zastósowana do praktycznego użytku raczéj niż do estetycznych idei, więcéj kombinująca, architektura rzymska wytworzyła pewny rozstrój w ich architekturze, który, okazując się szczególnie w połączcniu budowy filarowéj z budowlą sklepioną, sprzeciwia się właściwie ściśle architektonicznym prawidłom, nadaje charakter wprawdzie malowniczy lecz zarazem jałowy i zimny. Słowem architektura rzymska jest produtem ducha kalkulującego, bez owego ciepła, jakie stwarza uczucie narodowe i religijne. Dla tego téż przekroczyła architektura ta ciasną i ograniczoną sferę narodowego bytu i stała się własnością całego świata; jest ona poprzedniczką chrześciańsko-średniowiecznéj architektury, któréj tak samo utorować musiała drogę, jak panowanie Rzymian utorowało drogę chrześciaństwu.

Główne więc znamie architektury rzymskiéj na tém polega, że grecka budowa filarowa połączona jest z etruską budową sklepową. Styl budowy filarowéj łączy się z późnym greckim, mianowicie z koryntskim i jest tylko jeszcze pełniejszym. Kapitel jest albo dorycko-toskańskim lub koryntsko-jońskim, tak zwany złożony czyli rzymski kapitel. — Przez obszerniejsze użycie budowy sklepowéj przyczyniono się przedewszystkiém do rozwoju architektury mas, bo w skutek znacznéj jego siły oporu dozwala łuk na budowę kilku piętr na najkolosalniejszych nawet budowlach. Tém samém zaś umożebnioną została i architektura wewnętrzna, zajmująca u Greków bardzo podrzędne stanowisko, bo za pomocą sklepień można było pokryć najobszerniejsze przestrzenie. Stałą formą sklepień jest sklepienie beczkowe, doskonalszą i estetyczniejszą sklepienie krzyżowe i kopuła, rozpołowiona próżna kula, pokrywająca przestrzeń okrągłą. Budowa łukowa ten na budowę filarowę miała wpływ, że filar, nie będący już koniecznym architektonicznym członkiem jak u greckich budowli, różnym uległ zmianom i ograniczeniom. Prawidła co do oddalenia filaru jednego od drugiego przestały obowiązywać, ścisłe architektoniczne prawo szeregu upada a miejsce jego zajmuje więcéj malowniczne prawo grup. Filar daléj, który, oderwany od wspólnéj podstawy stopni świątyni, wymaga zastępcy, którym jest zwykle czworoboczna kostka, jako jego podstawa. Bardzo często daléj jest już tylko ozdobą ściany czyli półfilarem, pilastrem. — Najmniéj udało się Rzymianom estetyczno-piękne połączenie filaru z łukiem. Zwykle występują belki po za filary i cofają się obok nich pod kątem prostym tak, że przez to powstają podobne do kostek narożniki murów, które, choć nie odpowiadają ścisłym architektonicznym prawom, potęgują jednak malowniczy charakter tych budowli. Właściwym rzymskiéj architekturze szeregiem filarów jest t. z. attika. Jest to szereg krótszych filarów lub pilastrów, postawionych na belki kompletnego szeregu filarów, dla przyozdobienia pozostałéj części ścian, za nizkiéj dla kompletnego szeregu filarów.

(Dokończ. nast.)

MINISTER DLA GALICYI GROCHOLSKI.

(Patrz rycinę w Nrze 46.)

Próbując wszystkich systematów rządzenia, uciekając się do wszelkich środków, pół środków i ćwierć środków Austrya, o zgrozo! zmuszona była do wezwania na pomoc nawet polskiego elementu. Z kilkunastu bezirków gnębionych przez kilkunastu niemieckich biurokratów najczystszéj wody, nagle, Galicya wyrosła na jednolitą prowincyą, którą, bez powiększającego szkła, doradzcy rakuskiéj korony dostrzedz raczyli, dzięki kilku energicznym przegranym. Poczęła tedy zwracać uwagę Austrya na głos zubożonéj Galicyi i ten głos do coraz większego przyszedł znaczenia. I ten kopciuszek przedlitawskich krajów (zwany przedlitawskim, bo leży za Litawą) przypuszczony jest do rady państwa, a potém nawet obdarzony jest osobnym ministrem bez teki.

Do dzisiaj rola tego nieszczęśliwego ministra dokładnie określoną nie jest. Zdaje się że w radzie ministrów skromne mu wyznaczono stanowisko, w sprawach Galicyi dotyczących stanowić nie może; jest więc bez teki i bez zajęcia. W takim to trudnem położeniu znajduje się dzisiejszy minister dla spraw Galicyi pan Grocholski. Trzeba rzeczywistego patryotyzmu, żeby odważyć się na objęcie podobnie przykrego stanowiska.

To téż temu tylko powiększéj części uczuciu głębokiego patryotyzmu winien pan Grocholski swoje wyniesienie się do godności ministra. Droga przebieżona przez tego męża stanu, w kilku da się opowiedzieć słowach.

Zostawszy doktorem praw wstąpił pan Grocholski do tak zwanéj Finansowéj dyrekcyi, w któréj niepoślednie choć skromne jeszcze zajmował stanowisko, gdy został wezwany przez chorego ojca. Wrócił więc do dóbr w Tarnowskim powiecie leżących i zajął się gospodarstwem. Prawość charakteru i wielkie przywiązanie do sprawy ojczystéj wyrobiły mu szacunek u współobywateli, którzy wybrali go do rady powiatowéj, a następnie posłem do sejmu. Nie przystając do żadnego stronnictwa, umiał widać Grocholski zjednać sobie ufność sejmowéj większości, skoro został wybrany na członka Wydziału krajowego, najwyższéj autonomicznéj władzy Galicyi.

Że działalność jego na tym wysokim urzędzie zadowolniła sejm jak najzupełniej, dowodzi wybór do delegacyi do Rajchsrathu, wybór jakim go tenże sejm zaszczycił.

W tym czasie Galicya, bez języka, bez szkół dobrych, administrowana z maczoszą troskliwością, pozbawiona tych warunków w jakich kraj podnieść się i istnieć może, postanowiła przedstawić rządowi z jednéj strony potrzeby, z drugiéj żądania kraju. Do tych którzy najgoręcéj popierali

myśl sformułowania i wypowiedzenia żądań Galicyi i domagania się ich spełnienia, należał pan Grocholski. Sejm, dosyć lękliwy zresztą, uchwalił streszczenie owych żądań i akt ten zwany rezolucyą przez delegacyą sferom rządzącym przedstawionym został. Jakkolwiek rezolucya nie obejmuje wszystkich punktów jakichby dotknąć należało, chociaż zakres żądań dosyć jest skromny i niewystarczający, przecież był to wielki krok na drodze parlamentarnéj walki i jasne, a kategoryczne wymagania w niej zawarte w drobnych bodaj jeszcze rozmiarach, dostatecznym na ową chwilę atakiem. Nie tylko bowiem dla saméj Galicyi służyć mogła rezolucya na pierwszą wytyczną, nie tylko przekonała rząd o rzeczywistéj potrzebie zadowolnienia tak znacznego kraju w kilku bodaj punktach, ale dodała bodźca wszystkim prawnym żądaniom innych przygnębionych narodowości. Ruch więc ogólny ku większym swobodom narodowościowym silne otrzymał poparcie i zasiłek moralny. Krok ten był zatém ważnym i wszelkie miał cechy dzieła wiodącego ku wyżynom postępu. Choć więc mocno krytykowano rezolucyę jako niedostateczną, mającą ramy za ciasne, ogólnie jednak sądząc wagi jéj odmówić nie można, ani téż dodatnich skutków zaprzeczyć.

Trudno dziś dokładnie określić jak wiele w tém dziele przypisać należy dzisiejszemu ministrowi, gdy jednak satyrycy nasi nazywają go „Ojcem rezolucyi“ wnosić trzeba, że ci co za kulisy zaglądać mogli, udziałowi Grocholskiego w przygotowaniu tego aktu dość znaczne zakreślają granice.

Po ustąpieniu Ziemiałkowskiego z wysokiego stanowiska, przywódzcy koła poselskiego w Wiedniu, Grocholski nań powołanym został. Jest to jeszcze jeden dowód uznania jakim on się cieszy w delegacyi. Jako przewodniczący więc najwybitniéj przedstawiał się on sferom rządzącym, i w chwili gdy rząd dowód dobrego dla Galicyi chciał złożyć usposobienia, na prezesa koła polskiego najprzód zwrócić musiał oczy.

Tej godności zawdzięcza Grocholski godność ministra. Czy odpowiada w zupełności temu ostatniema tytułowi, czy kto inny w tém położeniu więcéj by nie zrobił, więcéj nie uzyskał dla Galicyi, czy inny nie umiałby lepiéj wyzyskać okoliczność sytuacyi i ludzi? Są to pytania na które odpowiedzieć nie chcemy się odważyć, można bowiem łatwo popełnić niesprawiedliwość, tém bardziéj, że nikt nie zna tysiąca drobnych okoliczności, które wpływają w Wiedniu na obroty i skręty wewnętrznéj polityki państwowéj. Sądzimy, że jako gorący miłosnik kraju, jego tylko dobro miał na celu, do tego zawsze dążył i robił co mógł i jak umiał. A że lepiéj nie umiał, to nie jego wina.

Dziś zaś Austrya wiekuiście chwiejna, niepewna, niedecydująca się i eksperymentująca, popróbowawszy różnych rzeczy, ludzi i systemu, ma zamiar wrócić do przewagi pięści, zamiast sobie zapewnić sympatye ludów, związawszy ich interes ze sprawą własnego istnienia i z interesem własnym. Jak daleko zajdzie Austrya tą starą i zużytą drogą? nikt nie wie.

Grocholski zrobił, co był powinien; podał się do demisyi wraz z Hohenwarthem, nie przyjęto jéj. Musi więc czekać i postąpić jak zadecyduje nasza dyplomatyzująca, mędrkująca, krótkowidząca i zawsze zadowolniona delegacya, któréj życzymy mniéj dyplomatycznego, a więcéj chłopskiego rozumu.

Włostowiecki.

Po co mi!

(Muzyka Ludwika Gr.)

Po co mi te pochwał słowa,
Po co sławy wieńce,
Gdy Ojczyzna moja w więzach,
Jéj Synowie jeńce?
Oj, wolałbym w zapomnieniu,
W cieniu biednéj chaty,
Śnić o wolnéj Ziemi mojéj
I patrzyć w bławaty!

Po co mi te kobiet serca
Co miłośnie biją,
Kiedy bracia moi w lochach
Na Kamczatce żyją?...
Oj, wolałbym bez kochanki,
W cieniu biednéj chaty
Śnić o wolnéj Ziemi mojéj —
I patrzyć w bławaty!

Po co mi to życie jeszcze,
Dla innych tak drogie,
Gdy z daleka tylko tęsknić
Za Ojczyzną mogę?...
Oj, wolałbym, umierając,
Z za więziennéj kraty,
Śnić o wolnéj ziemi mojéj —
I patrzeć w bławaty!

Drezno — 7. Lutego 1864.

Henryk Merzbach.

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Z życia zwierząt.

(Dokończenie.)

Z prawdziwym żalem przyznać musimy, że sieroctwo między zwierzętami jest może mniéj wielkiem i dolegliwém niż między ludźmi; sierota między ludźmi rzadko znajdzie prawdziwą opiekę, przy któréj zapomina sieroctwa, a raczéj go nie doznaje. Między zwierzętami sierota jest rzadkością; wszakże często można widzieć jak młode kanarki, które same zaledwie żywić się już mogą, z największą troskliwością pielęgnują młodsze, gdy przypadkowo rodziców straciły.

Ilekroć zdarza się, że kotka, mająca młode, ulituje się nad innemi, częstokroć przeciwnemi jéj młodemi zwierzątkami, a nawet nad takiemi, których zwykle kot prześladuje. Sieroty takich zwierząt kotka pielęgnuje i karmi, jak swoje własne młode, jakby najlepsza mamka. Są przykłady, że koty wykarmiły młode szczury, króliki, szczenięta i t. p. Przypuśćmy nawet, że te mamczące kotki to robią z pewnego rodzaju amatorstwa, nie zaś jak to widzimy u ptaków śpiewających, karmiących pisklęta kukułki z poświęcenia, to tem bardziéj podziwiać należy to postępowanie, które bezaprzeczenia uważać należy za współczucie, jeśli nie za litość.

Często nawet zdarza się to, że kotka porywa młode innych zwierząt na to tylko, żeby je wymamczyć; lecz ten postępek nie ma wiele wartości, gdyż ona to czyni comme une noble passion. Ale podziwiać należy pieczołowitość drobnych ptasząt, do których gniazda kukułka swe jaja składa. One to częstokroć dla wylęgłych żarłoków ofiarują się, poświęcają zupełnie, bo nie mogąc ich i siebie wykarmić, a dbając tylko o życie łakomych pasierbów, nieraz same z głodu umierają. Wiadomy jest następujący przykład z parą pliszek. Kukułka włożyła swe jaje do ich gniazda, założonego w dziuple drzewa. Wylęgłe młode, dobrze karmione przez przybranych rodziców, prędko urosły do tego stopnia, że z gniazda już wydostać się nie mogły. Pliszki, jak wiadomo ptaki przelotne przez miłość dla przybranego dziecka, przezwyciężyły swój naturalny instynkt i nie opuszczając go, zazimowały, żeby mu nie dać zginąć z głodu. Możnaby to po części uważać za pewien rodzaj ograniczenia; ale cóż powiedzieć o macierzyńskiéj troskliwości, z którą zajmowało się, jak wyżéj pokazałem, kurczę pisklęciem, lub z którą się zajmują małe ptaszęta, głównie zajmujące się swą zabawą, przyjemnym dla człowieka śpiewem, kukułką młodą, gdy ta przypadkowo z gniazda wypada i bez ich pomocy z głodu zginąćby musiała. To już tylko litością nazwać można, wszelkie inne tłomaczenie tego zjawiska świadczyłoby tylko o niesprawiedliwéj dumie naszéj.

Takich przykładów mógłbym jeszcze wiele przytoczyć, lecz trzeba jeszcze i o innych wspomnieć, by zbytecznie nie rozszerzyć się nad naszym przedmiotem.

Wiadomo, że psy nietylko rany ludzi liżą, ale nawet rany innych zwierząt. Z pewnością zaś przypuścić można, że tego nie robią dla przyjemności, a raczéj z współczucia, starając się ulżyć cierpiącemu. Również jest rzeczą dosyć znaną, że pies, któremu kiedyś lekarz zgoił złamaną nogę, do niego przyprowadził innego, któremu się takie same nieszczęście zdarzyło. Jest to fakt opowiadany przez bardzo wiarogodne osoby, jak również jest faktem częstokroć widzianym, że pies wolny, dobrze utrzymywany, karmi źle utrzymywanego psa podwórzowego, uwiązanego łańcuchem do swojéj budy.

Są jeszcze inne dowody litości zwierząt dla równych, chociaż one są mniéj pocieszające jak wyżéj opisane. Uważni badacze zrobili doświadczenie, że wiele zwierząt z wszystkich sił stara się zabić zranionych lub chorych swych równych. Czyż w tém nie przebija się współczucie? Jakąż inną ulgę mogą biedne zwierzęta cierpiącemu swemu krewnemu przynieść, jeśli nie tę, że go uwalniają od cierpień na zawsze? Znane są sądy bocianów, które zanim się w podróż puszczają, niezdolnych do téj podróży kolegów zabijają. To zapewne tylko za akt litości uważać należy, w którym ich naśladują na wpół dzikie szczepy północnéj Azyi, Ostjaki, Samojedy, Eskimosy. Nie mając środków pomocy dla bliskiego ich sercu, a widząc go w cierpieniu, zadają mu śmierć by go uwolnić od tych cierpień, co nawet ma być aktem religijnym u tych ludzi.

Pozostawiając to jedno zjawisko na stronie, które jednak jak widzieliśmy da się tłomaczyć nie jako krok uczucia, ale jako krok rozpaczliwy, znajdziemy między zwierzętami w wysokim stopniu rozwinięte współczucie dla chorych. O jednym przypadku, dwóch psów, wspomniałem wyżéj. Wspomnę jeszcze ich kilka o ptakach.

Znaczny handlarz ptakami w Berlinie miał w ogromnéj klatce przeszło sto rozmaitych ptaków śpiewających, które jak wiadomo po największéj części karmią się owadami i robakami.

Między tą hałaśliwą zgrają był jeden myszykrólik ze złamaną nóżką. Biedny siedział smutnie w kącie klatki, gdzie go synogarlica i inny drobny ptaszek bardzo starannie karmiły. Tu można było robić ważne spostrzeżenia. Z jednéj strony bowiem chory w obec swych dobroczyńców zachowywał się zupełnie jak pisklę, dając to poznawać przez smutną minę, trzepotaniem skrzydeł i piszczeniem. Z drugiéj zaś strony widzimy, że się chorym ptaszkiem zajmują nie jego krewni, ale innego rodzaju ptaki. Myszykróliki zapewne nie byłyby się chorym zajmowały, bo między niemi o paszę wieczna bywa wojna, jeśli razem w jednéj znajdują się klatce. W końcu jeszcze i to podziwiać należy, że przez cały czas kuracyi wszystkie w klatce będące ptaki pozostawiły chorego w spokoju, kiedy między zdrowemi panowała

wieczna niezgoda i ciągłe bywają swary, to o lepsze miejsce przy misce, to o wygodniejsze siedlisko, lub o inne w ich życiu ważne przedmioty.

Jeszcze mam jeden przykład z życia ptaków. Wrona przypadkowo dostała się do żelaza, nastawionego na kuny, które jéj nogi złamało. Jednak, choć ze złamanemi nogami uciekła. Na krzyk biednéj, która usiadła była na dachu, zleciały się wrony ze wszystkich stron i siedzącą na dachu przez kilka tygodni karmiły. Na dachu domu przedmieścia zaś pacyentka była bezpieczna, bo strzelać do niéj u nas nie wolno i tu téż pozostała dotąd, aż choć z krzywemi, ale wygojonemi nogami znowu sama o pokarm starać się nie mogła.

W ogóle istnieje między wszystkiemi ptakami żyjącemi gromadnie, nadzwyczajne, chociaż nie zawsze tak wybitnie objawiające się współczucia dla swoich towarzyszy. Podstrzelona kuropatwa, dzika kaczka z potrzaskaną lotką i t. p. przez długi czas są centrem całego towarzystwa, które niekiedy nawet dla nich na głód i niebezpieczeństwo się naraża, lecz chorego nie opuszcza. Nieraz można widzieć, że gromada wróbli, nie odznaczających się z resztą zbytecznie towarzyskością, zbiera się koło sążnia drzewa, lub kupki gałęzi. Tam z pewnością siedzieć musi chory wróbel nie mogący latać. Krewni zbierają się koło niego, on wychodzi ze swéj kryjówki, łączy się z niemi, świergocze, aż zdrowych jakiś szelest nie odstraszy.

Pod tym względem szczególniéj odznaczają się wszystkie ptaki spokrewnione z wroną. Gdy się wronę lub srokę zabije, wszystkie z całéj okolicy zlatują się, krzyczą i krążą koło nieszczęśliwéj towarzyszki. Wszakże z tego samego przymiotu wron umieją skorzystać ci, co się łapaniem ich trudnią. Złapawszy żywą wronę, wiążą mocno i kładą w znak do góry nogami. Krzyk jéj przywabia ze wszech stron towarzyszki, które siadając na związaną, starają się ją oswobodzić. Tego właśnie potrzeba ptasznikom. Związana wrona bowiem chwyta siadającą na nią swemi szponami, chcąc tym sposobem powstać na nogi, i tak mocno ją przytrzymuje, że czyhający w ukryciu ptasznik najspokojniéj może podéjść i wziąść swą zdobycz. Że sowa lub jastrząb, kiedy się dostaną między wrony, bywają przyczyną krzyku, hałasu i przedmiotem ścigania wszystkich wron, kruków, srok całéj okolicy, jest rzeczą powszechnie znaną.

Również znaną jest rzeczą, że za pomocą jednego myszykrólika całe ich stadko wyłapać można, bo każdy przylatuje by uwolnić uwięzionego i sam skutkiem tego popada w sidła.

Wiadomem jest jaką rolę odgrywa na naszych dziedzińcach kogut; wszak to tyran nie tylko dla kur, ale dla wszystkiego drobiu. Niejednokrotnie widzieć się zdarzy, jak ten tyran ujmuje się za chorą kaczką lub za słabszą sztuką drobiu, którą mocniejsze od żeru odpędzają i widocznie krzywdzą. Zauważano także, że wielki Neufeundlandczyk, do którego żaden wielki pies przystąpić nie odważy się, broni małych piesków pokojowych od napaści innych, większych od nich.

Nieraz też zdarza się widzieć, że dobroczyńcy między zwierzętami czują, iż nieszczęśliwemu łaskę robią. Pewien uczony badacz życia ptaków pod tym względem zrobił następującą obserwacyą:

Miał on we wielkiéj klatce kilka par rozmaitych gatunków myszychkrólików i szpaka. Parka szarych obrała sobie kątek wygodny dla swego gniazda, kiedy równocześnie para innych starała się temu przeszkodzić. Szpak przyjął rolę obrońcy pierwszych i jako mocniejszy łatwo pogromił atakującą parę, przeciwko któréj zaraz wystąpił, skoro tylko protegowana para piszczeniem dała znać o zbliżaniu się swych przeciwników. Ależ też on sam częstokroć przybył do gniazdka, usiadł na jego brzegu i z protektorską dumą spoglądał to na swych klientów, to na ich nieprzyjaciół.

Mógłbym tu jeszcze liczne przytoczyć tego rodzaju przykłady, opierające się wszystkie na rzeczywistych naukowych obserwacyach; lecz i przytoczonemi już sądzę, że osiągnąłem cel założony, którym było pokazać, że i w zwierzętach jest coś więcéj niżeli prosty instynkt, t. j. siła zniewalająca ich do bezmyślnego postępowania, siła robiąca z nich automaty, poruszające się podług pewnych naprzód określonych praw przyrody.

Zapewne, gdy się dojrzale nad tym przedmiotem zastanowimy, w przyszłości nie będziemy się czuli obrażonymi gdy będzie mowa o życiu psychicznem zwierząt. Między ich duszą a naszą, jest różnica tylko w stopniu rozwoju i w stopniu zdolności do rozwoju.

Z téj właśnie różnicy stopnia intelligencyi naszéj możemy być dumni, bo ona jedynie czyni nas panami przyrody i to właśnie chciałem, przytaczając powyżéj przykłady uczucia zwierząt, udowodnić.

A. B.

DWA WSPOMNIENIA ZE SYBERYI.

(Dokończenie.)

Fałszywe papierowe pieniądze, tak zwane w Syberyi „bliny“ kursują w wielkich masach w owym kraju, w którym umieć czytać i pisać, być „gramotnym“ jest taką rzadkością i taki daje przywiléj do szacunku, jak u nas między pospolitym narodem to, że „ten a ten mówi po francusku.“ Nie dziw zatem, że nie tylko dobrze odrobiony „blin“ znajdzie odbiorcę, ale nawet bardzo nędznie, od ręki odrobiony świstek, mający jakie takie podobieństwo do papierowéj asygnacyi. Moskale biorą także „bliny“ — częstokroć nawet z wiedzą je kupują za czwartą część nominalnéj wartości — a cóż dopiero ciemny burjat, który tylko wie, że istnieją „bumażnyje djengi.“

Było to zimą 1869 roku, kiedy się nagle w Telonińskiéj fabryce podniósł krzyk, że trzech burjatów z Archirejska złapano z ogromną paką fałszywych papierowych pieniędzy, za które w rozmaitych sklepach zakupili znaczne zapasy różnych towarów, a w końcu przytrzymano ich w sklepie Ostjanina, gdzie był subjekt z dobrym kupieckiem wykształceniem.

Rozumie się, że zaraz oddano winowajców w ręce wiejskiego starszyny, a ten ich natychmiast odprawił do zasjedatela Dmitrja Stjepanowicza.

Z początku srogo ich badał, zkądby mieli te masy fałszywych pieniędzy, bo znaleziono u nich jakie 500 sztuk pięciorublowych, a na ich tłomaczenie, że te pieniądze dostali od nieznajomego im człowieka z Irkutska, który niemi zapłacił bydło u nich kupione, wcale nie zważał rozgniewany zasjedatel.

Napisano kilka protokułów, w których Dmitry Stjepanowicz starał się powikłać biednych burjatów i już miał zamiar odesłać ich do więzienia w Irkutsku, kiedy mu przy kieliszku przyszła szczęśliwa myśl — że z tego nic mieć nie będzie i że burjatów w końcu jednak uwolnią, gdyż niepodobno, aby oni byli fabrykantami owych fałszywych pieniędzy, a że do tego po rosyjsku nie umieją, sędzia będzie musiał uznać ich za niewinnych, nawet chęci puszczenia w kurs fałszywych asygnałów.

Postanowił sam w inny, korzystniejszy dla siebie sposób skończyć całą sprawę.

Burjatów kazał zakuć w kajdany, posadzić na sanki i zawieść do Archirejska, a sam naturalnie natychmiast za nimi pojechał — na rewizyę.

Rewizya ta jednak nie tylko u złapanych na uczynku burjatów odbyła się, ale u wszystklch mieszkańców osady, u których rozumie się Dmitry Stjepanowicz rył się w skrzyniach i kufrach jak w swoich. Papierków fałszywych nie znalazł u nikogo, ale dobrych dużo i z nich, zapewne by się przekonać o ich dobroci, zabrał z sobą znaczną kupkę, przedstawiającą wartość do dwóch tysięcy rubli.

Oprócz tego dostał od jednego z oskarżonych — wierzchową klacz, którą dawniéj chciał kupić od niego; lecz że sprzedaż wierzchowca burjatowi jest religijnemi przepisami wzbronioną, nie mógł jéj dostać. Teraz zaś burjat, chcąc się oswobodzić od śledztwa, którém groził Dmitry Stjepanowicz, podarował mu dawno upragnioną siwkę, i tak nasz zasjedatel z bogatym plonem powrócił do domu.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że takie rzeczy należą do wyjątków, że one są wybrykami indywiduów. Ktoby tak sądził, w wielkim znalazłby się błędzie. Systemat rosyjskiego rządu jest — korrupcya; on uczciwych ludzi w urzędach nie potrzebuje i to tak dalece, że pewnego razu p. Mjosajedow, czynownik do osobnych poruczeń przy generalgubernatorze Nazimowie w Wilnie i z nim skuzynowany, bez ogródki powiedział memu przyjacielowi, że nie podobno mu wierzyć, aby w zachodnich państwach Europy, urzędnicy nie byli przedajni; w Rosyi bowiem każdego urzędnika kupić można, od najniższego, do najwyższego, jest tylko różnica — w sumie potrzebnéj.

Mają oni do usprawiedliwienia tego postępowania szczególną logikę. Urzędnicy powiadają, że każdy potrzebujący ich pomocy, ma w tém interes, szuka swéj korzyści. Jeden bowiem chce wygrać niesłuszną sprawę; otóż ma interes. Drugi chce, by sprawę słuszną przyspieszyć, bo od tego przyspieszenia zależy uzyskanie pieniędzy, które puszczone w obieg procent przynoszą; a więc znów interes. Trzeci potrzebuje jakich dowodów legitymacyjnych n. p. dla paszportu za granicę. Musi w tém koniecznie mieć interes, bo bez tego nie jechałby za granicę. Kiedy zaś ci wszyscy interesenci z przeprowadzenia sprawy mają korzyść, dla czegoby sam czynownik przeprowadzający ją nie miał także mieć materyalnéj korzyści?

Logika to ścisła, dziwna wprawdzie, dla nas niepojeta, ale — czysto rosyjska i trafiająca do przekonania każdego Mcskala. To zaś u wszystkich, nie tylko urzędników, ale i cywilnych ludzi, dochodzi do tego stopnia, że wręcz każdy powiada, iż woli płacić i mieć rzecz w swoim czasie zrobioną, choćby to nawet nie było odpowiedniem przysłowiu: „kto wprzód przychodzi, wprzód miele", jak to bywa gdzieindziéj i być powinno, niżeli czekać, aż przyjdzie jego kolej.

To też w Rosyi i w Syberyi nikt nie pyta się jaka pensya jest przywiązaną do pewnego miejsca, ale jakie są dochody. O pensyą mało się dba, ona jest rzeczą podrzędną.

Jednak tu muszę wystąpić jeszcze z jedną uwagą na honor rosyjskich urzędników w Syberyi, a przynajmniéj irkutskiéj i jenisejskiéj gubernii, których się głównie notatki mego przyjaciela dotyczą, od naszych t. j. od politycznych więźniów nie biorą łapowego, bo im to podobno srodze zakazano. Ale cóż potém? Wszakże i nasi mają interesa, które załatwić potrzeba. Ponieważ podług wyżéj przytoczonéj logiki, każdy interes przynosi korzyści, z których polityczni więźniowie się nie opłacają, to też takowe nie bardzo pospiesznie się załatwiają, mimo to, że w Irkutsku u cywilnego gubernatora jest urządzone osobne bióro dla załatwienia ich interesów, na którego utrzymanie kraj zapewno nie mały haracz płacić musi.

Co więcéj nawet, pułkownik Kupieńko, który był naczelnikiem tak zwanéj „wremiennoj komisyi" przy generał gubernatorze i komendantem politycznych zsylnych, oraz głównym opiekunem ich, któremu było powierzone „polepszenie położenia politycznych przestępców", umiał bardzo dobrze zespolić swój interes, z powyższym rozkazem. Wszystkie bowiem pieniądze, jakie były nadesłane z kraju dla któregokolwiek z zesłanych, przychodziły i przychodzić musiały na jego ręce i w nich pozostawały — trzy do czterech miesięcy. A że to były dosyć znaczne w ogóle sumy, i gdy w Syberyi płaci się od 20—25% miesięcznie, przy czém nikt nie krzyczy jeszcze na lichwę, pan pułkownik Kupieńko zrobił piękny interes, nie przestając być — zacnym człowiekiem, bo oddawał pieniądze do odesłania ich w swoim czasie, t. j. po upływie trzech do czterech miesięcy swemu sekretarzowi Hoffmanowi. Dopiero ten przestał być zacnym człowiekiem, gdyż zamiast pójść śladem swego pryncypała, zatrzymać kapitał kilka miesięcy, a potém go odesłać, kontentując się samym procentem, około czterdziestu tysięcy rubli kapitału sobie zatrzymał na zawsze.

Prawda, że za to poszedł w aresztanckie roty, ale zapewne za dwa lub trzy lata już znów będzie w urzędzie, bo ogólnie go przełożeni żałowali, że za taką bagatelę został ukarany.

Boże mój! jakie to szczęście być moskiewskim czynownikiem, a jeszcze do tego w Syberyi. Tam to prawdziwy raj, eldorado tych poczciwych ludzi, bo tam przeszło w krew przysłowie: „Do cara daleko, do Boga wysoko!“

WODA W KOPALNIACH WIELICZKI.

(Z ryciną.)

„Kopalnie soli w Wieliczce zginęły! Ogromna masa wody pochodząca z rzek podziemnych włamała się i z przestraszającą szybkością napełnia wszystkie chodniki! Miasto i jego mieszkańcy są w największém niebezpieczeństwie!“

Ta przerażająca wszystkich wiadomość z szybkością błyskawicy rozniosła się po świecie przed kilku laty (1868). Nie było gazety, któraby swych czytelników nie uwiadomiła o tém nieszczęściu i wszyscy, bez względu na narodowość, ubolewali nad tym smutnym wypadkiem. Wszakże to nie tylko my, połączeni wspomnieniami historycznemi z tą kopalnią, któréj skarby uważamy za narodowe bogactwo naszéj ziemi, za legendowe wiano naszéj ojczyzny, ale nawet cudzoziemcy mają interes w kopalniach soli w Wieliczce! Któż to, od najrańszéj swéj młodości ucząc się geografii, nie słyszał jakie tam leżą skarby, co tam w podziemiach człowiek od wieków zbudował, wykuł z kryształu soli! Wszak to mały i wielki wiedział, jakie tam są kaplice, jakie krzyże, jakie statuy Świętych, jakie filary, krużganki, schody i piętra; i w duchu nie jeden z nas będąc jeszcze dzieckiem, uczniem elementarnéj szkoły, przebywał całemi godzinami w tych podziemiach.

Kopalnia Wieliczki sięga najodleglejszych wieków. Przyjmuje się wprawdzie zwykle, że sól tam dopiero w trzynastym wieku w skutku modlitwy św. Kunegundy (Kingi), małżonki księcia Bolesława Wstydliwego została odkrytą, a raczéj, jak piękna legenda, znana zapewne każdemu Polakowi, powiada, jako wiano jéj dane od ojca, króla węgierskiego, przeniesioną była do Wieliczki; że pierścień, który ona rzuciła do źródła solnego w Węgrzech, potém znaleziony był w Bochnii; ale mimo to wszystko są historyczne dowody, że w Wieliczce już w jedenastym wieku była rozległa kopalnia soli „Magnum sal!“ Jak cały nasz kraj, tak i ta kopalnia soli dziwne przeszła koleje. Zawsze jednak, jak sam nasz naród, pozostała ona niewyczerpniętą i bogatą; a co rok rozprzestrzeniona, coraz więcéj przynosiła dochodów, na nieszczęście nie nam, ale obcym, a jest pewność, że wydatek jéj jeszcze przez wieki nie zmniejszy się.

W dawnych czasach, kiedy jeszcze nie znano naukowego górnictwa, kiedy wydobywanie soli jeszcze odbywało się pierwiastkowym, surowym sposobem przez dzierżawców wybierających to, co im pod ręce podpadło, co było najdogodniejszem, bez względu na następstwa, często zdarzały się nieszczęśliwe przypadki. Obecnie jeszcze widać ślady zapadnięć i wiadomo z pewnością, że całe miasto Wieliczka, zbudowane bezpośrednio na solnych katakombach, z biegiem czasów znacznie się poniżyło, gdyż je dawniéj można było widzieć z odległego na trzy ćwiercie mili Krakowa, co teraz jest niemożliwością. Są także wiarogodne doniesienia o tém, że nie raz woda się werwała do kopalni i w niéj zrządziła ogromne spustoszenia, ale że zawsze się udało zapanować nad wodą i nadać jéj inny kierunek, a szkody zreparować. Ale więcéj niżeli raz tylko fale wypędziły mieszkańców drewnianego, podziemnego miasta — bo robotnicy mieszkali dawniéj pod ziemią w drewnianych chatkach — i romantyczne podania zachowały te zdarzenia w pamięci miejscowéj ludności, wzywając niejako ciągle do czujności i utrzymując ducha pod wpływem strachu przed zdradliwym żywiołem.

Zważając na to, nie zadziwi nas zapewne paniczny strach jaki wywołał nieszczęście, o którem tu piszemy. Nierozsądek, przesąd a po części także samolubstwo podtrzymywały umysły w nieustannem rozdrażnieniu; niejeden właściciel sądził, że powinien korzystać z okazyi, aby swą upadającą chatę jak najlepiéj spieniężyć, pozbywając się jéj na rzecz dobrego kupca, zwanego austryackim językiem „aerarem“, (skarbem); nienasycone czasopisma téż pochwyciły zdarzenie jako przypadek mogący wywołać sensacyę w czasie spokojnym, ogórkowym; rozsiano największe przesady o całym przypadku, a rządowi przedstawiono zaraz niezmierną kupę rozmaitych projektów.

W rzeczywistości były narożone niezmierne skarby, lecz nie były one bezpowrotnie i na zawsze stracone. Nie ulega bowiem kwestyi, że w Galicyi jeszcze są zachowane nieporównanie większe zapasy soli niżeli je dotąd z łona téj ziemi wydobyto. W licznych bowiem miejscowościach płyną źródła solne, napotyka się na słoną ziemię i flora pokazuje że rośnie na ziemi solą przesyconéj. Lecz wyzyskiwanie tych zapasów dotąd zdawało się zbyteczném, a monopol solny, w Austryi istniejący tylko w rzadkich przypadkach pozwolił na wydobywanie téj soli w takich miejscowościach, które zresztą nie bardzo wielkie korzyści przynosiły.

Mimo to nie wolno było myśleć nawet o tém, aby dobrze zorganizowaną kopalnię w Wieliczce pozostawić, porzucić bez walki z dzikim żywiołem. Słynne kopalnie na całym świecie i dające korzystne zajęcie tysiącom robotników, trzeba było ratować. Wzięto się do pracy z początku wprawdzie z niejakiem wahaniem, z namysłem, a nawet nie we właściwy sposób; lecz prędko wzmogła się energia, poznano błędy i rozpoczęło się wielkie, pełne nauki widowisko walki człowieka z przyrodą tam w ciemnych, podziemnych głębiach, a ten człowiek jest pełen otuchy, pełen przeświadczenia, że zwycięży.

Chociaż zarząd kopalni zwiedzającym najmniejszéj nie robi trudności, i każdemu, o ile na to potrzebna ostrożność

pozwala, przystęp do wszystkiego ułatwia; nie każdy mógł to widzieć, co w następném opiszemy. Nad ziemią i pod nią musiało się wiele rzeczy ogółowi zwiedzających wymknąć, cofnąć, co właściwego badacza uwadze uchodzić nie mogło. Dnia 20 Lutego 1869 znaczna liczba inżynierów i techników, oraz ludzi uczonych, pod miejscową dyrekcyą puściła się w głąb przez szacht Danielowice, mający swe imię jak inne jeszcze szachty, od górnego komisarza, który go w roku 1840 założył. Wchód jest, ile to jest możebném, dogodny. W obszernym przedsionku oczekuje się zebrania całego towarzystwa, albo też oglądać można tymczasem znajdującą się obok kaplicę św. Antoniego ze swemi ołtarzami, świętemi, kazalnicami i sprzętami, co wszystko jest wykute z twardéj zielonéj soli, a wszystko to jest dziełem rąk prostego robotnika, którego imię nawet jest nieznane. Czas powstania téj kaplicy jest XVII wiek, a wyroby te nie uderzają sztuką, któréj w nich nie widać, ale wielkością, mianowicie jeśli się uwzględni materyał i sztukmistrza.

Tu zaraz nadmieniam, że się zresztą wszystko na téj kaplicy, w któréj niegdyś odprawiało każdego dnia nabożeństwo, redukuje. Dawniéj niemieccy i inni pisarze opowiadali o ogromnych katedrach i całych wsiach wykutych ze skały solnéj. I tak jeszcze pozostaje dosyć cudów, dosyć podziwienia godnych rzeczy w tém podziemiu.

Do tych cudów należą olbrzymie nieregularne sklepienia, powstałe przez wydobywanie zielonéj, kamiennéj soli, a których objętość wynosi do trzech tysięcy kubicznych lachtrów.

Cały pokład soli składa się z trzech głównych gatunków: zielonego, od swego koloru tak zwanego, a zanieczyszczonego gliną; szpickiego (spiza), tak zwanego od miejsca przybycia górników, którzy pierwsi tu kopać zaczęli, i szybnickiego. Ostatni gatunek jest najczulszy i leży w trzech warstwach rozciągających się od wschodu ku zachodowi. Sól ta jest biała, twarda. Na wszystkie te gatunki natrafia się po „drodze zwiedzających" tam, gdzie zwykli goście się oprowadzają.

Nie może być mojem zadaniem, wielokrotnie opisane już cuda tego podziemnego świątu jeszcze raz malować.

Wszakże to wiadomo, jaki cudowny efekt tam sprawia oświetlenie; jak rozchodzi się echo strzałów armatnich; jakie wrażenie sprawia jazda po słonych jeziorach i jakie olśnienie sprawia blask ognia rakiet puszczonych. Wszak to wiadomo, że będąc w kopalniach Wieliczki, sądzisz się być w krajach — tysiąca i jednéj nocy.

Przechadzając się tak po tych podziemnych chodnikach, wśród umyślnie wywołanego huku i trzasku, wśród tego sztucznie utworzonego światła, lejącego się niejako z miliona kryształów, człowiek nie czuje najmniejszego strachu, najmniejszéj niespokojności. Przechadzka jest taka pewna, wygodna i sucha, jak w lecie w starannie pielęgnowanym parku. Najwyżéj jeżeli niekiedy z ust towarzyszących zwiedzającemu, a trzymających w swych rękach łojem podsycane światła górników, usłyszy się wyrazu: „nisko!" co oznacza, że się doszło do miejsca nie dosyć wybranego, gdzie nieco schylić się trzeba. Takich miejsc jednak nie wiele. Szczególnie uderza wielka susza, panująca w tych podziemiach; skutkiem téj suchości i przesiąkania solą, wszystkie drewniane pomocnicze urządzenia tak doskonale się konserwują, że n. p. w wejściu do komory Włodkowice, tuż obok ogromnéj i wspaniałéj sali do tańców, w któréj się znajdują olbrzymie statuy i kandelabry z kryształów solnych, a które kiedyś Suwarów zrobić kazał, drzewo złamanych słupów jest tak świeżem, jakoby się one dopiero przed kilku tygodniami a nie w roku 1703 złamały.

(Dokończ. nast.)

Szarada.

Moje drugie i pierwsze ma znaczenia wiele,
Nie stawa nigdy w końcu lecz zawsze na czele.
Trzecie czytaj wspak, zadrzyj, bo spotkasz tyrana
Najsroższego ci wroga, twéj własności pana,
Co już ci wydarł wszystko, chciałby wziąść i duszę,
Co sprawia twemu sercu bolesne katusze.
Ja cały chociaż zrodzon na pańskie usługi,
Przecież zawsze próżnuję i leżę jak długi.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 46: *Telegramy.*)

Korespondencye Redakcyi.

Pannie S. K. w Inowrocławiu: Na przesłaną przed półrokiem nawellę „Romans przez okno" odpowiedzieliśmy w skrzynce do listów, że takowa zbyt mało interesu przedstawia, ażeby mogła być drukowana w Sobótce. Dziś dopiero w liście, nie odpowiednim kobiecie stylem pisanym, mścisz się pani za sąd nasz i zarazem zapytujesz, co może mieć za interes drukowana obecnie w Sobótce „Historya Nauczyciela szkółki wiejskiéj?" Że „Romans przez okno", przystępniéjszym jest dla Pani niż „Historya Nauczyciela", nie wątpimy o tém; ale z tém wszystkiem zdawało się nam, że i ta praca ostatnia, która we Francyi i w Niemczech wywoła żywy interes, a przytém w najpopularniejszą formę ubrana, i dla wielbicielek „Romansu przez okno" niezrozumiałą nie będzie. Nadzieje nas zawiodły, o czém list pani najlepiéj świadczy. Chcąc jednak przekonać panią, że nie tylko „Romanse przez okno", których widocznie jesteś zwolenniczką, ale i inne utwory mogą mieć interes, postaramy się w krótkich słowach cel „Historyi Nauczyciela" przedstawić. „Historya Nauczyciela", zamieszczona przed kilkoma miesiącami w jednem z najpoważniejszych pism w Europie: Revue des deux Monde, nie jest właściwie powieścią, ale w jéj formę ubranym traktatem, rozbierającym kwestyę wychowania elementarnego we Francyi. Los Nauczyciela i stopień pojęcia dzieci, wpływy jakie szkółkę elementarną otaczają, w końcu ważność pierwiastkowéj nauki, są tam tak gruntownie i popularnie rozebrane, że nietylko sami Francuzi, ale i poważniejsze pisma niemieckie na pracę tę uwagę zwróciły. Że zaś rozprawka wyżéj wymieniona, w większéj części i do naszych warunków da się zastósować, niewahaliśmy się zamieścić ją w Sobótce. — Panu L. M. w Królewcu: Dwa nadesłane wierszyki drukowane w Sobótce nie będą. — Panu Z. Z. w L.: Prosimy o nadesłanie paru rozdziałów. — Panu Amborskiemu we Lwowie: Odebraliśmy choć nieco zapóźno. O dalsze wspomaganie nas pracami Jego, upraszamy. — Panu S. N. pod Gnieznem: Trudno przeciw wiatru dmuchać. — Pani R. P. pod Słupcą: Chcielibyśmy wszystko dla niéj uczynić, ale nie wszystko możemy. Względy redakcyjne niepozwalają zastósować się do jéj życzenia.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).